

Joasia Wojewódka, uczennica klasy 2 gimnazjum, została wyróżniona w XII Międzyszkolnym Konkursie Literackim "Nie piszę do szuflady" organizowanym przez Zespół Szkół Ogólnokształcących nr 4 w Gliwicach. Napisała opowiadanie - jako pracę domową - i okazało się, że jest naprawdę dobre i warto było je "doszlifować" oraz wysłać na Konkurs.

Joasiu, gratulujemy i liczymy, że na tym nie poprzestaniesz! :)



Fragment opowiadania:

---

„Zaklinowany” (fragment)

Wydawało mi się, że to będzie kolejny dzień, kiedy ciemne chmury w mojej duszy otaczają radość i uśmiech, nie pozwalając im chociaż na chwilę ujrzeć zewnętrznego świata. Zawsze czułem pogardę wobec mojej osoby oraz słyszałem chłodny i donośny śmiech tych chmur, kiedy starały się zakryć każde, nawet najdrobniejsze źródło delikatnego światła.

Wtedy moja nadzieja zawsze upadała. W mojej głowie rozpętywała się wichura, a ja nie wiedziałem, co robić oraz o czym myśleć. Potem deszcz ewidentnie chciał pokazać swoją moc i wygrywał walkę pomiędzy mną, a upokarzającymi mnie siłami. Poddawałem się, upadając żałośnie na kolana i krzycząc resztkami sił jak tylko najgłośniejszym głosem: „Nie! Koniec! Idź! Odejdź! Zostaw mnie! Wygrałeś!” Słowa te zawierały wiele emocji i bólu, ale przez duże krople, które spływały mi z oczu do gardła, nie dając mi spokoju, było tylko słyszeć żalosne krzyki rozpaczliwego dziecka. Smutek i żal nie chciały opuścić mojego serca. Kiedy widziałem już w tej ciemności malutką, ale jasną isierkę, zostawała ona natychmiast ugaszona przez

wiatr, czyli kołatania moich myśli i deszcz oznaczający płacz. Wiedziałem, że sam wybieram pogodę, która mi towarzyszy, ale chociaż bardzo chciałem, nie umiałem nadać jej nawet o pół tonu jaśniejszych barw. Moje ciało i dusza były zupełnie zaklinowane w pesymistycznym myśleniu, od którego nie potrafiły się uwolnić.

Izaak – to imię podobno oznacza „Bóg się uśmiechnął”, ale chociaż tak mam na imię, to tym razem tak się nie stało.

Nigdy nie mogłem na nikogo liczyć. Zawsze ja jeden pośród niekończącego się zbiorowiska. Sam w centralnej części śpieszącego się tłumu, stałem i wpatrywałem się w przestrzeń, prosząc o pomoc. Nic z tego. Co zatrzyma ludzi, którym cały czas gdzieś się śpieszy? Idą tylko jak roboty pozbawione własnego myślenia, dążące do celu nadanego przez właściciela. Wyciągałem ręce, chcąc odgonić tę pogoń za czasem. Gdy już moim palcom brakowało niewiele drogi, by przejść przez metę, nagle chmury na niebie wydawały się uciekać przed czymś, bojąc się, że zostaną skrzywdzone. Moje oczy skoncentrowane już tylko na tym, a ręce cały czas wyciągnięte, zaczęły nabierać pewności siebie i coraz szybciej mknęły w kierunku mety. Cisza, długa, bezlitosna posucha. Mówi się, że cisza zawsze jest przed burzą i niestety w moim przypadku to się sprawdziło. Wszyscy zamarli, gdy dotarł do nich ciężki, okropny i donośny trask. Widziałem współczucie na twarzach otaczających mnie ludzi i zastanawiałem się, przed czym chcą mnie uchronić. Moje ręce zaczynały wtedy drgać, jakby wiedziały to, co za chwilę je czeka. Ale moje oczy wciąż bez uczucia strachu wpatrywały się w niebo, czekając na punkt kulminacyjny. Po kilku sekundach czułem, jak moje nogi zaczynają się uginać, a ciało układa się w takiej pozycji, jak gdyby czekało na ścięcie. Moje serce zaczynało łomotać, szukając ratunku, ale szybko nabierało świadomości, że jest uwięzione w moim ciele – labiryncie, z którego nie ma wyjścia. Ręce tak bardzo chciały iść dalej, ale czułem, że nie mają już sił. Wtedy pojawiał się nagle wiatr porywający wszystko, lecz nie mnie. Zostawałem ja sam, klęczący, niepanujący nad swoim ciałem chłopak. Znowu cisza... Cisza tak bardzo głęboka, że słyszałem bicie swojego serca. Nagle niebo zaczęło się rozsuwać, a z niego wydobywało się coś wielkiego i niewyraźnego. Później widziałem dokładnie, że jest to mocno zaciśnięta ręka trzymająca ostry, stalowy miecz. Pragnąłem uciekać, ale nie umiałem. Byłem tak przerażony, że jedyne, co udawało mi się jedynie zobaczyć, to moje ręce, które ucina wielki miecz, potem mdlałem. Budziłem się gdzieś, nadal klęcząc.

Widziałem jednak tylko nieprzeniknioną czernią. Nagle słyszałem kroki, które były z czasem coraz głośniejsze. Wyczuwałem ciężki oddech unoszący się gdzieś nade mną. Potem moje oczy szeroko się otwierały, gdy poczuły wyraźny ból. Udawało mi się jeszcze usłyszeć głos, który wypowiadał słowa: „Nigdy nie uda ci się podnieść”. Później mój sen się kończył i budziłem się w normalnym świecie.

Tak właśnie wyglądała każda moja noc: chmury, iskra, ulewny deszcz podczas wichury i niekończąca się śmierć.

Aż pewnego razu stało się coś niewiarygodnie dziwnego, dla mnie wręcz niemożliwego. Tamtej nocy tajemnicza iskra ze snu nie gasła, była tak silna, że nie pozwoliła sobie na ciemność. Oświeślała tylko coraz to większą część mojej duszy. Rękom wreszcie udało się zdobyć metę, czyli wyznaczony od zawsze cel.

Kolejny dzień nadszedł. Otworzyłem szeroko oczy, usiadłem na łóżku i rozejrzałem się po moim pokoju. Popatrzyłem w prawo i przyjrzałem się obrazowi wiszącemu na ścianie pokrytej ciemnym drewnem. Ramka lśniła bielą, a jej zawartość była pełna kolorów

Można by powiedzieć, że tylko on był źródłem jakiegokolwiek światła w moim pokoju. W tym małym pomieszczeniu okno znajdowało się od strony północnej, więc niewiele promieni wpadało przez nie do środka. Dlatego też zawsze mój wzrok kierował się w stronę tego malowidła. Na mojej twarzy pojawił się uśmiech, kiedy przypatrywałem się tym wszystkim zwierzętom, które biegały i skakały. Było tam tyle gatunków, że kiedy próbowałem je zliczyć i dochodziłem już do liczby siedemdziesiąt sześć, musiałem zaczynać od początku, ponieważ zazwyczaj wszystko mi się już myliło. W każdym razie było ich tam niezliczenie wiele.

Moją uwagę jako pierwsze skupiały konie biegnące galopem w centralnej części obrazu. Wyglądały przepięknie z długimi grzywami na tle wschodzącego słońca. Później patrzyłem na rude i czarne koty liżące swoje małe łapki. Następnie widziałem pawia, który swoim pióropuszem próbował wzbudzić zachwyt u innych. Na drugim tle znajdował się słoń - potężne, wielkie słonisko. Wymachiwało swoją trąbą tak, jakby za chwilę miało kichnąć. Obok niego była żyrafa pijąca wodę z wodopoju. Po drzewach, skakała mała, brązowa małpka. Potem oglądałem jeszcze parę zwierząt: lwy, niedźwiedzie, ptaki, surykatki i zebry. Ale pod koniec, mój wzrok zawsze zatrzymywał się na małym piesku, który wlepił we mnie swoje oczy i mnie nimi hipnotyzował. Miałem wtedy wrażenie, że ten zwierzak próbuje mi coś przekazać, ale codziennie co innego. Zawsze były to bardzo miłe rzeczy, które wspierały i dodawały odwagi.

Codziennie rozmawiałem z nim przez chwilę, a potem zaczynało się prawdziwe życie. Czasem śmieję się, że gdyby ktoś próbował zrozumieć moje życie, to zabrakłoby mu czasu na tej ziemi. Ja sam nie potrafiłem siebie zrozumieć, co dopiero inni. Po rozmyślaniach na temat mojego istnienia popatrzyłem na zegar i zobaczyłem, że dochodzi już siódma. Postanowiłem wstać. Słowo "wstać" dla wszystkich wydaje się normalne. Budzisz się, otwierasz oczy, wstajesz i idziesz. Ale to nie jest słowo, które jest częścią mojego życia. Tę część albo i większą zajmuje wyraz „siedzieć”. Więc u mnie wygląda to tak: budzę się, otwieram oczy, siedzę i jeszcze raz siedzę. I tak do końca dnia. Chciałbym kiedyś móc znowu normalnie wstać i iść, ale mam też świadomość, że to już nigdy nie nastanie. Kilka lat temu, kiedy byłem jeszcze dzieckiem, każdego ranka próbowałem wstać i pójść, ale nigdy to się nie udawało.

Zazwyczaj kończyło się płaczem spowodowanym bólem - fizycznym i psychicznym.

Rodzice przybiegali i pomagali mi wstać. Mówili, że to się zmieni, że to jest tylko mała kałuża, która wyparuje pod wpływem promieni słonecznych. Teraz już wiem, że słońce może sobie tak łatwo nie poradzić z oceanem problemów, którym stała się mała kałuża. Dlatego stwierdziłem,

że nie będę robił im problemów. Wystarczy to, że mają mnie. Więc tego dnia od razu chwyciłem za wózek i usiadłem. Po ósmej udałem się do kuchni na śniadanie. Byłem niesamowicie zadowolony, kiedy poczułem zapach ciasta naleśnikowego. Usiadłem szybko przy stole i razem z rodziną spożyliśmy poranny posiłek. Całe szczęście, że znajdowałem tak duże wsparcie w rodzicach. Bez nich poziom jakiejkolwiek radości w moim życiu wynosiłby zero procent. To oni mnie wychowali i zawsze są przy mnie, kiedy ich potrzebuję. Nigdy nie zawodzą. Uśmiechnięci, radośni i nastawieni do świata jak najbardziej optymistycznie. Tak, to zdecydowanie opis pasujący do mojej rodziny. W takim razie skąd wziąłem się ja - najgorszy pesymista, jakiego znam?

(...)